

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ ÓSMY *NARZĘDZIA ROZWOJU OSOBISTEGO*

Przynależność do Klubu 555 spowodowała, że pewnego dnia spadły mi klapki z oczu. Nagle zacząłem zupełnie inaczej postrzegać rzeczywistość. Zrozumiałem, że moja podświadomość jest jak ogród, w którym jestem jedynym ogrodnikiem, i tylko ode mnie zależy, co w nim zasieję. Stojąc gdzieś pośrodku, rozejrzałem się dookoła.

– Grzegorz! Czy ty to widzisz? No dalej, popatrz sobie... Otwórz oczy, ale szeroko, i przyjrzyj się wszystkiemu uważnie, bo widzisz to po raz ostatni. Smród, brud i ubóstwo! Pobojowisko, niczym Japonia po nalotach! No dobrze, wystarczy już tego patrzenia. A teraz... zakasaj rękawy i bierz się do roboty! – wygłosiłem w myślach monolog.

Zmotywowałem się do działania, po czym powolutku – małymi krokami – zacząłem robić porządki. Na taczce wywoziłem gruz. Sprzątając, znalazłem między innymi pułapki na myszy, trutki na szczury, a także niedopite butelki po napojach wysokokowych, w których pływały miękkie oraz twarde narkotyki. „Niezlą melinę tu miałem” – pomyślałem, widząc

efekty swojej pracy. Następnie powyrywałem wszystkie chwasty, by w końcu przekopać cały ogród na nowo. W pewnym momencie trafiłem na coś twardego. Zdziwiłem się, widząc wygiętą łopatę.

Zacząłem kopać coraz głębiej, aż w końcu trafiłem na skrzynkę, w której znajdowały się zapomniane przeze mnie marzenia – zarówno te z dzieciństwa, jak i późniejsze. Jednym z nich było napisanie książki. Owo pragnienie odżyło we mnie automatycznie, aczkolwiek początkowo byłem przerażony, gdyż nie należałem do osób, które lubiły zaglądać do biblioteki bądź księgarni. Bałem się swojego marzenia, ponieważ brakowało mi wiedzy oraz doświadczenia. Odłożyłem pomysł na później. W sklepie ogrodniczym kupiłem nawóz oraz nasiona w celu zasiania wielu roślin i kwiatów. Wstępna wizja ogrodu była gotowa. Nie ukrywam, że towarzyszyło mi ogromne uczucie ekscytacji. To, jak dalej będzie się rozwijać moja działka, zależało już tylko i wyłącznie ode mnie...

Pewnego dnia w pracy rozmawiałem z Zorą. Siedzieliśmy obok siebie, gdyż po wcześniejszej sytuacji z Nwankwo zostałem posadzony przy innym biurku. Tematem przewodnim był rozwój osobisty. Uwielbialiśmy o tym nawijać i robiliśmy to codziennie.

– Zmieniłeś się ostatnio. Już nie jesteś takim bucem jak kiedyś – stwierdziła koleżanka, uśmiechając się do mnie.

– Dziękuję. Chciałbym, abyś wiedziała, że to także twoja zasługa. Razem z Gabrysią sprawiłyście, że zainteresowałem się rozwojem osobistym – wyszeptałem, odczuwając wdzięczność.

– A najlepsze w tym wszystkim jest to, że przypomniałem sobie o swoich marzeniach. Zamierzam napisać książkę. Nie wiem jeszcze o czym, ale myślę, że będzie gotowa za pięć lat – dodałem po chwili, śmiejąc się od ucha do ucha.

– Zajebicie! Trzymaj to i zapisz – rzekła Zorka, podając mi kartkę i długopis.

Tak też uczyniłem. Czarno na białym zapisałem, co i w jakim czasie chcę zrealizować. Poczułem w sobie coś magicznego. To było dokładnie to samo uczucie, które towarzyszyło mi kilkanaście lat wcześniej, czyli w momencie, gdy po raz pierwszy pomyślałem o tym, że napiszę książkę...

Kilka dni później spotkałem się ze Zbyszkiem, którego parę lat wcześniej poznałem w jakimś magazynie. Pracowaliśmy razem. Nie widzieliśmy się dość długo, ale mimo to mieliśmy ze sobą świetny kontakt. Po wypiciu kilku wysokoprocentowych piw zaczęliśmy rozmawiać o marzeniach.

– Grzechu, wiesz, jak jest. Co mam ci powiedzieć? Byle do weekendu i w palnik, do odcięcia! Chciałbym mieć flaszkę, ale taką bez dna. Jak by ci to powiedzieć... No taka niekończąca się opowieść – oznajmił Zbychu, cały purpurowy na twarzy.

– Zbigniew, posłuchaj mnie... Wszystko, co dziś mamy na tym świecie, powstało kiedyś w głowie człowieka. I wyobraź sobie, że ten sam człowiek poczynił później pewne kroki, by przybliżyć się do osiągnięcia swojego celu – zwróciłem się do kolegi.

– A ty o czym marzysz? – zapytał Zbyszek, jękając się.

– Chcę napisać książkę. Znaleźć wydawcę i zobaczyć swoje dzieło w empiku – uświadomiłem kompana.

– No to, kurwa, grubo! Nie obraż się, ale wydaje mi się, że nie czytasz książek. Wspominałeś kiedyś, że ich nie lubisz. Przeczytałeś choć jedną w swoim życiu? – dziwił się kompan, nie mogąc powstrzymać ataku czkawki.

– Tak. W podstawówce przeczytałem dwie lektury. Były nimi „Ania z Zielonego Wzgórza” oraz „Robinson Crusoe” – stwierdziłem, odczuwając niewielką dumę.

– No nie wiem, nie wiem. Nie widzę tego, szczerze mówiąc, ale może spróbowałbyś przeczytać coś jeszcze? – Usłyszałem po chwili.

Wówczas pomyślałem sobie, że kumpel ma rację i faktycznie powinienem tak postąpić.

– Zbychu, ty to dobrze kombinujesz. Wiesz, powiem ci coś... Znajdę kilka takich książek, które mnie interesują, przeczytam je i dopiero później napiszę swoją – zakończyłem wątek.

Zbigniew popatrzył na mnie z niedowierzaniem i stuknął się palcem w czoło. Skrytykował mnie, jednak była to krytyka konstruktywna, która miała na celu pomóc, a nie piętnować.

Kolejnego dnia złożyłem zamówienie w sklepie internetowym. Kupiłem kilka książek o rozwoju osobistym, jak również o tematyce psychologicznej. Najpierw chciałem przeczytać bestseller pt. „Potęga podświadomości” Josepha Murphy’ego, jednak minęło trochę czasu, zanim go otworzyłem. Kiedy już to zrobiłem, wciągnęło mnie do tego stopnia, że nie zamknąłem książki dopóty, dopóki nie przeczytałem ostatniej strony.

Pamiętam, że miałem ciarki na plecach, gdy chłonałem nową wiedzę. Niesamowite wrażenie wywarło na mnie to dzieło. Uwierzyłem w Moc Boskiej Inteligencji. W drugiej kolejności przerobiłem

„Myśl i bogać się”, w którym Napoleon Hill udzielił wielu rad na temat tego, jak odnieść sukces. Wychwyciłem, że najistotniejsza jest bezgraniczna wiara w osiągnięcie zamierzonego celu oraz cierpliwość. Blair Hill – syn autora książki – urodził się bez uszu, ale po wielu latach walki z ułomnością zaczął słyszeć. Następnie zapoznałem się z treścią lektury pt. „Wymień umysł na lepszy model”. Joe Dispenza wprowadził mnie w świat fizyki kwantowej. Zrozumiałem, że wszystko we Wszechświecie jest energią. Wiedza na temat wszechświatów równoległych, czyli alternatywnych rzeczywistości, zmieniła mój punkt widzenia na wszystko. Zasób wiadomości, jakie nabyłem z wyżej wymienionych książek, spowodował, że zacząłem rozmyślać na temat stworzenia nowej teorii oraz wzoru, jeśli chodzi o Prawo Przyciągania.

Z dnia na dzień stawałem się coraz bardziej świadomy, dzięki czemu zacząłem pisać artykuły, które miały być podsumowaniem mojej wiedzy. Początkowo chodziło o to, żeby móc wrócić do swoich notatek w każdej chwili, jeśli zawiodłaby mnie pamięć. Pierwszy artykuł mojego autorstwa był o śnie, a napisałem go 10 września 2018 roku. Podzieliłem się nim z najbliższymi i chyba zrobił na nich wrażenie, bo otrzymałem mnóstwo pochwał i komplementów, co mnie zmotywowało do napisania czegoś jeszcze. Następny także znalazł uznanie, a trafił do trochę szerszej publiczności. Kolejny aplauz dał mi niesamowitego kopa pozytywnej

energii, dlatego też postanowiłem napisać artykuł pt. „W pogoni za szczęściem”. Można w nim znaleźć między innymi moje głębokie przemyślenia na temat kilku ważnych spraw. Pozytywne opinie sprawiły, że podzieliłem się swoją twórczością na Facebooku. Byłem bardzo mile zaskoczony, ponieważ część moich znajomych udostępniła ten post. Zaczęli do mnie pisać ludzie, których nie znałem. Pisali, że pomogłem im spojrzeć na życie z zupełnie innej strony. Dziękowali, prosili o porady... Byłem w szoku! Odczuwałem wielką satysfakcję, gdyż mogłem komuś pomóc. Dotarło do mnie, że chcę to robić. Poczułem, że pragnę ulepszać ten świat, zmieniać życie ludzi na lepsze. Uświadomiłem sobie, że pisanie jest tym, co daje mi olbrzymią frajdę. Kilka dni później, gdy byłem w pracy, gdzie pisałem kolejny artykuł, zaczepił mnie Sławomir, kumpel z zespołu.

– Przejrzyj sobie. Autorem jest mój partner – powiedział, kładąc mi na biurku książkę.

– Spoko. Zaraz zobaczę – oznajmiłem po chwili, nieco zamyślony.

Wziąłem do ręki dzieło o tematyce LGBT. Przeczytałem kilka pierwszych stron i... byłem pod wrażeniem. W tym samym momencie uświadomiłem sobie, że przyszedł czas, aby napisać coś swojego. Pomyślałem, że tematyką będzie rozwój osobisty.

„Greg, skup się... Masz już temat, ale jak widzisz całokształt? Na rynku jest mnóstwo tego typu książek. Albo dasz światu kolejnego gniota, albo zrobisz to lepiej od innych i stworzysz prawdziwe arcydzieło. Myśl, człowieku, myśl... Ludzie są leniwi z natury, więc wolą podążać do celu po linii najmniejszego oporu. Co jeszcze? Chcą szybkich zmian. No to ciach!

Rozwój osobisty składa się z wielu ważnych tematów. Każdy wątek został już poruszony przez różnych autorów, ale... Nikt nie opisał wszystkiego w jednej książce! I to jest to! Dam ludziom rozwój osobisty w pigułce! Poradnik, ale taki bez lania wody. Krótko, zwięźle i na temat. Teoria oraz przykłady, zarówno z mojego życia, jak i z życia moich znajomych. Musi być wiarygodnie, więc będzie. Jeżeli byłbym leniwy i chciałbym szybko zmienić swoje życie na lepsze, to jaką drogą bym podążał? Kupiłbym 30 różnych książek, z czego każda ma 300 stron, czy jednak zainwestowałbym w jedną, ale taką, która ma 300 stron i zawiera wszystkie najważniejsze informacje? Wybór jest prosty. Zatem do dzieła!” – przeanalizowałem wszystko dogłębnie. Planowałem stworzyć takie dzieło, które miało być skierowane do wszystkich ludzi, a w szczególności do tych, którzy chcieliby zmienić swoje życie na lepsze, ale nie wiedzą, jak to zrobić. Pomysł znalazł uznanie wśród rodziny i najbliższych, co utwierdziło mnie w przekonaniu, by iść w tym kierunku. Moje pisanie nabrało rozpędu. Pisałem w pracy, gdy miałem wolną chwilę, oraz w domu. W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że przerodziło się to w pasję. W końcu ją znalazłem!

Niedługo potem mój wzór na Prawo Przyciągania był gotowy. Zdecydowałem się na testy, które miały potwierdzić, że teoria jest bezbłędna. Poprzeczkę zawiesiłem sobie dość wysoko, zapisując się na charytatywny rajd rowerowy na trasie Manchester – Blackpool o łącznej długości około 90 kilometrów; miał się on odbyć nocą. Postanowiłem nie przygotowywać się, ponieważ wierzyłem w Nieograniczoną Moc

Podświadomości. Moją mocną i jednocześnie słabą stroną było to, że codziennie pedałowalem do pracy i z powrotem, ale łącznie zajmowało mi to tylko 20 minut. W dniu zawodów starannie przygotowałem swojego górala do jazdy. Do plecaka zapakowałem kanapkę, tabliczkę czekolady oraz dwa napoje izotoniczne. Przed wyjściem z domu wizualizowałem swój dojazd do mety, odczuwając wszystkie możliwe uczucia i emocje, jakie towarzyszą człowiekowi w danej sytuacji. Jako dziecko lubiłem ścigać się z rówieśnikami. Nigdy nie odpuszczałem, zawsze walczyłem do samego końca. Na starcie stanęło kilka tysięcy rowerzystów. Większość z nich miała kolarzówki.

– No nieźle. Mogłem to przewidzieć, trudno. Powalczymy! – przemówiłem do siebie w myślach, odczuwając niewielki stres.

Rowery górskie są dużo wolniejsze na trasie niż kolarzówki. Byłem bardzo zmotywowany, toteż mocno wierzyłem w możliwości swojego „rumaka”. Wystartowałem z przytupem, wymijając setki osób na pierwszych dwóch kilometrach. Później było już nieco ciężiej, bo jechaliśmy pod górkę – jedną, drugą, trzecią... Zacząłem „puchnąć” dopiero w połowie dystansu, gdzieś w okolicach Preston. Tam zrobiłem sobie pierwszą przerwę i zarazem ostatnią. Pojadłem, popiłem, by następnie włączyć się do peletonu. Nabrałem odpowiedniej szybkości, po czym zacząłem zbliżać się do czołówki. Jechało się coraz ciężiej, ale nie poddawałem się. Pojawiły się pierwsze skurcze, jednak byłem tak zmęczony, że prawie ich nie czułem. W kryzysowych momentach zjeżdżałem na pobocze i wizualizowałem moment, w którym przekraczam

metę. Bezgranicznie wierzyłem w swój sukces. Najgorsza była ostatnia godzina jazdy. Gdy zbliżałem się do morza, miałem nadzieję na szybki finisz, ale nic z tego... Musiałem pedałować jeszcze kilkadziesiąt minut, aż w końcu – resztkami sił – przekroczyłem linię mety. Pamiętam, że jakaś pani wręczyła mi pamiątkowy medal oraz butelkę wody. Chwilę później przysiadłem na ławce – wykończony, ale szczęśliwy i wdzięczny. Zająłem miejsce w pierwszej setce – jako jedyny, który dojechał na góralu. Udało się!

Po tym pierwszym sukcesie zdecydowałem, by dołączyć do rywalizacji w biegu charytatywnym na 5 km. Prawie codziennie pokonywałem podobny dystans, więc chciałem się z kimś zmierzyć na neutralnym gruncie. Ba, chciałem nawet te zawody wygrać! W szkole średniej zdobyłem parę medali, ale głównie na dystansie 400 m. Na kilka dni przed startem zawodów zacząłem pracować ze swoją podświadomością. Wizualizowałem swoje zwycięstwo, które łączyłem z uczuciami i emocjami, jakich doświadczyłem wiele lat wcześniej. Bieg odbył się w jednym z największych parków w Manchesterze. Na starcie pojawiło się kilkaset osób. Pierwsza grupa miała przebiec jedno okrążenie o długości 5 km, zaś druga dystans dwukrotnie większy, jednak obie ekipy zaczynały równocześnie. Wszystko zależało od tego, kto w jakim biegu chciał rywalizować. Odróżniał nas kolor bransoletki. Czekać na sygnał startu, przygotowałem stoper. Ruszyliśmy chwilę później. Biegło mi się całkiem nieźle, trzymałem solidne tempo. Zbliżając się do mety, zdziwiłem się trochę, ponieważ nie zauważyłem przed sobą nikogo, kto miałby na rękę

bransoletkę w takim kolorze jak moja. Odwróciwszy się, również nikogo nie dostrzegłem! Serce zabiło mi szybciej, po czym spojrzałem na stoper. „Całkiem niezły czas. Ale dlaczego nie ma nikogo na mecie? Czyżbym wygrał? Możliwe... Aj, chyba jednak nie, bo wszyscy biegną dalej, więc pewnie meta jest w innym miejscu. Popierdółka jakaś, a nie finisz!” – pomyślałem, spoglądając kątem oka na metę i śmiejąc się pod nosem. No i pobiegłem za całą resztą, jak jakiś nieogar. Szkoda, bo po kilku minutach zorientowałem się, że popełniłem duży błąd, który słono mnie kosztował. Zamiast skupić się na drodze, wolałem słuchać muzyki, w związku z czym... zagapiłem się. Przybiegłbym pierwszy, jednak przekroczyłem metę jako ostatni. Ta historia zainspirowała mnie do tego, by napisać artykuł o uważności.

Pewnego ranka w korporacyjnej toalecie natknąłem się na Sławka, który opowiedział mi o swoim problemie. Czuł się odrzucony, zarówno przez rodzinę, jak i znajomych, ponieważ był gejem. Wówczas poczułem, że napiszę coś pt. „Lęk przed krytyką”. Po chwili siedziałem już przy biurku, zamyślony, układając w głowie plan elaboratu, gdy nagle usłyszałem czyjś głos. To była Zora, która wracała z kuchni.

– O czym tak marzysz? – zapytała, zajmując swoje miejsce tuż obok mnie.

– Myślę o książce – odpowiedziałem, dumając dalej.

– Opowiem ci ciekawą historię, posłuchaj. Jim Carrey pod koniec lat 80. XX w. był początkującym i jeszcze niezbyt znanym aktorem. Wiedział jednak, że w życiu wszystko jest możliwe, o ile w pełni zaangażuje swój

umysł do działania. Chodzi mi o Prawo Przyciągania. Znasz temat, ale słuchaj dalej... Pewnego dnia wypisał sobie czek na dziesięć milionów dolarów, na którym wystawił datę „Święto Dziękczynienia 1995”. Przez wiele lat nosił ten czek w portfelu. W 1994 roku ukazały się dwa filmy z jego udziałem, dzięki czemu został gwiazdą. I wyobraź sobie, że w 1995, dokładnie w Święto Dziękczynienia, zaproponowano mu rolę w filmie „Głupi i głupszy”, za którą zgarnął dziesięć milionów dolarów. Czaisz?! – ekscytowała się koleżanka.

– No co ty? To ja też tak zrobię. Masz może kartkę i długopis?

– zapytałem, myśląc o dacie i kwocie.

– Mam, trzymaj – rzekła Zorka, podając mi artykuły biurowe. 21 listopada 2018 roku, dokładnie o godzinie 8:18, zapisałem na żółtej kartce papieru kwotę w wysokości 2 000 000 GBP z datą 21 listopada 2021 roku. Pomyślałem i zapragnąłem, by tego dnia dojrzeć na swoim koncie bankowym przelew przychodzący opiewający na taką sumę. Pieniądze miałyby pochodzić ze sprzedaży mojej twórczości.

W firmie Tolerance mieliśmy wiele zespołów, z czego każdy zajmował się czymś innym. W grupie, która odpowiadała za marketing, pracował László. Mężczyzna był rodowitym Węgrem. Przyjechał do Anglii z powodów osobistych. Któregoś dnia zaproponował mi spotkanie, toteż umówiłem się z nim w restauracji nieopodal naszej pracy.

– Greg, chciałbym nawiązać z tobą współpracę – rzekł do mnie w pewnym momencie, przeżuując pokarm.

– No spoko, ale co konkretnie masz na myśli? – odrzekłem zaniepokojony.

– Słyszałem, że piszesz książkę. Moglibyśmy założyć bloga. Mój partner jest Czechem. Ma na imię Jaromir i mówi biegle po czesku, polsku i angielsku, więc mógłby przetłumaczyć twoje materiały. Ja mogę przełożyć na węgierski. Jak już to ogarniemy i zaczniemy zarabiać, podzielimy się kasą na trzech. Oczywiście po równo, żeby była jasność. Będziemy sławni i bogaci. Co ty na to? – zaproponował kompan, uderzając pustą szklanką w stół.

W tym samym momencie zakręciło mi się w głowie. Przez kilka sekund zastanawiałem się, czy nie mam problemu ze słuchem. Nigdy nie myślałem o tym, żeby prowadzić bloga. Nie interesowało mnie to. Jednak propozycja... Musiałbym być bezmózgowcem, żeby ją zaakceptować.

– Wybacz, ale nie szukam współników do swojego projektu – oznajmiłem szorstko, podnosząc się z krzesła. – Wydaje mi się, że nie szanujesz mojego czasu. Muszę już iść – dodałem po chwili, przecierając usta chusteczką.

– Greg, zaczekaj. Przepraszam. Zapomnij o sprawie, nie było tematu – powiedział Łászló, czerwieniąc się na twarzy.

– Cieszę się, że mnie rozumiesz. Może po browarku? – wyszedłem z inicjatywą.

– Chętnie. Ja stawiam! – Usłyszałem odpowiedź.

Po kilku piwach uznałem, że pora iść do domu. Łászló odprowadził mnie kawałek, aż w końcu stanęliśmy, żeby się pożegnać.

– Greg, mogę cię przytulić? – spytał koleżka, zaskakując mnie kompletnie.

– No możesz. Śmiało – odparłem z szerokim uśmiechem na twarzy.

László objął mnie mocno, by po chwili nachylić się do moich ust. Wyrwałem się z jego uścisku i zrobiłem kilka kroków do tyłu.

– László, kurwa, co ty robisz?! – krzyknąłem poirytowany.

– Myślałem, że... – wyszeptał zmieszany, mając łzy w oczach.

– Wybacz, ale nie jestem gejem – skwitowałem, odchodząc. Spędziliśmy całkiem udany wieczór, który zaczął się nie najlepiej i tak samo skończył.

Kilka dni później zauważyłem dziwnie zachowującą się Sulley. Sytuacja wydarzyła się w firmowej kuchni. Dziewczyna nie mogła ustać w miejscu, roznosiła ją energia. Biegała dookoła, mając każdemu z osobna coś do zakomunikowania.

– Sulley, zwolnij trochę, bo rozlewasz kawę. Weź papier i posprzątaj łaskawie – zwróciłem się do niewiasty, patrząc na nią spod oka.

– Oj tam, oj tam. Weź przestań. Chodźmy lepiej poklikać – wymamrotała pod nosem.

Wyszliśmy razem z kantyny, aczkolwiek w połowie drogi zboczyłem do toalety. Kątem oka obserwowałem koleżankę, która nagle przyspieszyła kroku. Patrzyłem na nią i przecierałem oczy ze zdumienia. Szła tak szybko, że miałem wrażenie, iż unosi się w powietrzu. Wyglądała komicznie, jakby miała się zaraz przewrócić. Sulley lubiła nosić buty na obcasach, ale niestety nie potrafiła w nich chodzić. Po krótkiej przerwie wróciłem na swoje stanowisko pracy i zdziwiłem się jeszcze bardziej. Dziewczyna

kłóciła się z Kurtem. To była bardzo agresywna wymiana zdań. Po chwili siadła obok mnie.

– Co się gapisz? Wkurwiona jestem na tego palanta, nie dowidzisz? – zwróciła się do mnie całkowicie roztrzęsiona.

– Uspokój się. Co się stało? – zapytałem dyskretnie.

– Szłam do biurka i potknęłam się. Zahaczyłam jedną nogą o drugą i wylałam cały kubek kawy na tego niegodziwca. Nienawidzę go! A teraz wybieraj: on albo ja. Nie będę z tobą rozmawiać, jeśli zamierzasz utrzymywać z nim kontakt! – Usłyszałem po chwili.

– Sulley, wyluzuj. Weź się w ogóle posłuchaj. Zachowujesz się jak jakiś przedszkolak. Ile ty masz lat? Czy ja wybieram ci znajomych? – zripostowałem. – Poza tym masz słowotok i wytrzeszcz oczu. Ogarnij się, jeśli nie chcesz, żeby Niemiec na ciebie doniósł. Chłopak nie jest ślepy – dodałem.

– Może i masz rację. Przestań się już na mnie gapić – zakończyła Sulley z uśmiechem.

Śmiem twierdzić, że większość pracowników wiedziała, co jest na rzeczy, ale ludzie zwyczajnie nie chcieli robić jej problemów. Poza tym broniły ją dobre wyniki. Była wydajna i popełniała stosunkowo mało błędów. Nazwa firmy też nie była przypadkowa.

Nazajutrz miała się odbyć wigilia pracownicza. Większość korpoludków drażyła ten temat od samego rana. Sulley zastanawiała się, jaką perukę powinna założyć na to wydarzenie.

– W której będzie mi najlepiej? – zwróciła się do mnie w pewnym momencie, pokazując zdjęcia w telefonie.

– Po co ci ta sierść? Postaraj się w końcu zaakceptować siebie taką, jaka jesteś naprawdę. Pokaż swoje naturalne piękno – stwierdziłem całkowicie szczerze.

– Sama nie wiem. Jak myślisz, czemu nie mogę znaleźć sobie faceta? – spytała smutno.

– Wyobraź sobie mężczyznę swoich marzeń. Jego charakter, pozycję społeczną, wymagania wobec partnerki... Czy widzisz go teraz w myślach? – zapytałem.

– Tak – wyszeptała Sulley, uśmiechając się tajemniczo.

– No to wyobraź sobie, że jesteś tym facetem, i pomyśl, jaka partnerka do ciebie pasuje. Stop! A teraz wróć do rzeczywistości. Myślisz, że spełniasz jego kryteria? – kontynuowałem.

– Sama nie wiem... Chyba nie. – Usłyszałem odpowiedź.

– No to już wiesz – zakończyłem, uświadamiając koleżankę. Po pracy wsiadłem na rower i pojechałem prosto do domu. Miałem jakieś dwie godziny, żeby przygotować się do wigilijnej kolacji. Wyszukowałem się w ciągu siedemdziesięciu pięciu minut, po czym usiadłem i zacząłem rozmyślać na temat swojej książki. Przechodziłem przez kryzysowy moment, ponieważ miałem wrażenie, że brakuje mi czasu na wszystko. Nałożyłem na siebie zbyt wiele obowiązków – pisanie, czytanie, siłownia, bieganie, nauka języka obcego. Gdy wracałem z pracy, przeważnie byłem zmęczony i nic mi się nie chciało... Siedząc na kanapie, zastanawiałem się,

czy nie powinienem zrobić dłuższej przerwy w pisaniu. Jednak po głębszej analizie stwierdziłem, że potrzebuję bodźca. Tym bodźcem miała być opinia jednego z moich mentorów. Znalazłem kontakt do Fryderyka Karzełka i wysłałem mu artykuł pt. „W pogoni za szczęściem” z zapytaniem, czy mam dalej podążać tą ścieżką, czy też nie. Następnie wskoczyłem w buty oraz garnitur i wyszedłem z domu na firmową kolację, gdzie najadłem się do syta oraz wypilem dość dużą ilość alkoholu. Gdy byłem już dobrze wstawiony, podszedł do mnie uśmiechnięty László.

– Greg, chodź ze mną do toalety. Mamy do pogadania – powiedział, chwiejąc się na nogach.

– Prowadź! – wykrzyknąłem, wskazując palcem na świątynię dumania.

Poszedłem za Węgrem, natomiast w połowie drogi dopadła mnie pijacka czkawka. Chwilę później zamknęliśmy się razem w jednej kabinie.

– Greg, ty mała dziwko. Tylko mi nie mów, że nie jesteś gejem, bo ci nie uwierzę. Zerznąłbym cię w tej kabinie. Co ty na to? Mam poppersa, sztachnij się – przemówił koleżka, podając mi małą buteleczkę azotynów alkilu.

Wziąłem kilka wdechów, po czym podałem flakon kompanowi. Po kilkunastu sekundach krew uderzyła mi do głowy. Poczułem euforię i zacząłem się śmiać. László był w podobnym stanie, jednak patrzył na mnie niczym wygłodniałe zwierzę na surowe mięso.

– László, posłuchaj... Mam zajebistą fazę i nie chciałbym, abyś mi ją zepsuł. Rozumiemy się? – wydukałem, nie mogąc powstrzymać śmiechu.

– Nie pierdol. Wypnij dupsko i wyj z rozkoszy! – krzyknął Węgier, łapiąc mnie ręką za pośladek.

– Spierdalaj! Idę do domu – otrzeźwiałem w ułamku sekundy, po czym opuściłem toaletę i wyszedłem z restauracji.

Wracając do domu, śmiałem się wniebogłosy. Ciężko było mi uwierzyć w to, co się stało... Następnego dnia obudziłem się z niewielkim bólem głowy. Nie przeszkadzało mi to zbytnio, więc ogarnąłem się szybko i wyszedłem na świeże powietrze, aby potruchtać. Podczas przebieżki przypomniał mi się jeden z nawyków, o których wspominał swego czasu Fryderyk w Klubie 555. Mianowicie chodziło o to, żeby każdy dzień rozpoczynać z gotowym planem. „To całkiem niezły pomysł... A gdyby tak zacząć wstawać godzinkę wcześniej niż zwykle? Rozpocząłbym dzień od medytacji, później siłownia lub bieganie. Kolejno praca, zaś po pracy pisanie i na sam koniec czytanie lub nauka języka obcego. Zaoszczędzę czas i energię. Bingo!” – analizowałem w myślach, czując, jak pot spływa mi po plecach. Po treningu wziąłem szybki prysznic i włączyłem laptopa. Sprawdziłem pocztę i znalazłem wiadomość zwrotną od mojego mentora. Napisał, żebym szedł w tym kierunku, bo fajnie mi to wychodzi. Dostałem zastrzyk pozytywnej energii – ależ byłem wtedy podekscytowany. Po kacu nie było najmniejszego śladu.

Niebawem poleciałem do Polski na urlop. Odwiedziłem rodzinę oraz przyjaciół. W Warszawie spotkałem się z „Gibsonem”. Poszliśmy do pubu, w którym głównie przesiadują fani Milanu i Liverpoolu. W tym wyjątkowym miejscu próbowaliśmy nadać tytuł mojej książce.

– A może „Wykreuj siebie”? – zaproponował kompan.

– Podoba mi się. Biorę – zgodziłem się.

W Olsztynie miałem przyjemność widzieć się z Hektorem Korzonkiem. Wspomniałem mu o tym, co zaszło w największym mieście kraju.

– A nie lepiej „Wykreuj siebie na nowo”? – wypalił Hektor.

– I tak właśnie będzie. Dzięki – powiedziałem stanowczo.

Przyjaciele stworzyli tytuł roboczy mojej książki. Byłem z nich dumny. W stolicy Warmii i Mazur umówiłem się także z innym serdecznym przyjacielem, który opowiedział mi historię swojego kolegi. Marcin był niewyróżniającym się młodym człowiekiem. Wstawał codziennie rano, jadł śniadanie, po czym szedł na dziesięć godzin do pracy. Wracał, palił skręta, pośmiał się trochę przed telewizorem, a następnie kładł się spać. Każdy jego dzień wyglądał tak samo. Najważniejsze, że kochał swoje życie. Nigdy nie narzekał, po prostu był szczęśliwy. Pewnego dnia wyszedł z domu i wsiadł do samochodu. Chciał pojechać do innego miasta, żeby obejrzeć wyścigi psów. Była zima, ślisko na drodze. Chłopak nie dojechał do celu, gdzieś po drodze miał wypadek. Wpadł w poślizg i zatrzymał się na drzewie. Całe szczęście, że przeżył. W szpitalu usłyszał diagnozę – uszkodzenie kręgosłupa. Lekarze dali mu jasno do zrozumienia, że już nigdy nie będzie chodził o własnych siłach. Marcin wtedy pomyślał, że to niemożliwe. Dopóki ma dwie nogi, dopóty będzie walczył, aż w końcu uda mu się stanąć i pójść przed siebie bez jakiejkolwiek pomocy. Wierzył, że jest w stanie to zrobić. Lekarze kręcili głowami, ale on nie dawał za wygraną. Uważał, że kaleką może stać się jedynie w swojej głowie i z

własnego wyboru. Chłopak się na to nie zgodził. Ćwiczył całymi dniami. Rehabilitacja trwała kilkanaście miesięcy. Pewnego dnia stanął i oznajmił lekarzom, że wychodzi. Jak powiedział, tak zrobił...

– Jedźmy do niego. Chciałbym z nim pogadać – zwróciłem się do swojego rozmówcy.

– Dobra. Zapinaj pasy i ciśniemy – powiedział, przekręcając kluczyk w stacyjce samochodowej.

Za kilka minut byliśmy na miejscu. Najpierw zapoznałem się z Marcinem, by kolejno poprosić go, żeby opowiedział mi tę historię, ale ze szczegółami.

– Czekaj. Możesz powiedzieć to jeszcze raz? – zareagowałem w pewnym momencie.

– Głęboko wierzyłem w to, że będę chodził. Nigdy nie pomyślałem, że może być inaczej. Wizualizowałem sobie w głowie, że jestem zdrowy. Wszystkie bariery znajdują się w umyśle. Jeżeli uwierzysz w to, że jesteś kaleką, to nim będziesz – powtórzył towarzysz.

Miałem łzy w oczach, kiedy Marcin opowiadał tę historię. W pewnym sensie potwierdził słuszność mojej teorii Prawa Przyciągania. Zainspirował mnie również do tego, by napisać artykuł o motywacji.

Po powrocie do Manchesteru moje pisanie nabrało rozpędu. Każdego wieczoru sporządzałem plan na kolejny dzień. Wszystko szczegółowo zapisywałem w kalendarzu. Codziennie wstawałem o godzinie piątej nad ranem. Siadałem na kanapie i zaczynałem medytować. Przeważnie „odpływałem” na dwadzieścia minut, z czego pierwsze dziesięć było

przewidziane na głęboką medytację, natomiast drugą dziesiątkę poświęcałem afirmacjom i wizualizacjom.

– Wszechu, proszę Cię o pomoc i inspirację. Spraw, by moja książka była wyjątkowa. Niech każdy artykuł będzie na tym samym poziomie. Genialny i magiczny. Proszę, żeby moje dzieło zmieniło ludzkość. Oby jak najwięcej osób było szczęśliwych – mówiłem do siebie w myślach, wierząc głęboko w realizację swojego pragnienia.

Następnie widziałem urzeczywistnienie tegoż marzenia we własnej głowie, odczuwając wszystkie możliwe uczucia i emocje. Uznawałem to za niepodważalny fakt.

– Dziękuję – szeptałem na sam koniec, odczuwając wdzięczność.

Później działały się różne cuda. Dostawałem wiele wskazówek podczas snu. W ciągu dnia miewałem nagłe olśnienia. To było niesamowite. Codziennie żyłem swoją książką. Jeśli jej nie pisałem, to myślałem o niej. Po prostu zamieszkałem w swoim marzeniu. Byłem wręcz niedyspozycyjny dla kogokolwiek i kiedykolwiek.

Pewnego dnia uświadomiłem sobie, że napisałem już całkiem sporo rozdziałów, ale wciąż brakuje spisu treści. Postanowiłem go stworzyć. Zwróciłem się z prośbą o pomoc do Sulley. Sytuacja wydarzyła się w pracy.

– Ej, laska! Nudzisz się? Przestań klikać w tę klawiaturę, bo już dawno wyrobiłaś dzienną normę. Chcesz, żeby nam znowu podwyższyli? Wystarczy, że podnieśli dwa tygodnie temu, i dobrze wiesz przez kogo... Potrzebuję twojej pomocy – zagadnąłem nieco uszczypliwie.

– Nie podniosą, nie martw się. Klikam dużo, bo chcę być najlepsza! Gul mi skacze, kiedy widzę, że Kurt ma więcej ode mnie. Czego ci potrzeba? – zripostowała, uśmiechając się ironicznie.

– Spis treści właśnie robię. Czego jeszcze chciałabyś się dowiedzieć z mojej książki? Masz jakieś pomysły? – spytałem, patrząc jej głęboko w oczy.

– Nie gap się tak na mnie, bo mnie stresujesz. Jestem czysta, niczego dzisiaj nie brałam! Mam nadwagę, więc napisz coś o zdrowym stylu życia. O związkach, to może sobie w końcu partnera znajdę. Co tam jeszcze? Możesz wspomnieć o manipulacji. Przydałoby mi się owinąć sobie kilka osób wokół palca. O! O nawykach koniecznie! Nawyki milionerów, to może będę bogata – odrzekła kumpela, śmiejąc się głośno.

– Spoko, dzięki. Dodam jeszcze coś od siebie i będzie git – zakończyłem wątek rozmowy.

Po kilkunastu minutach spis treści był gotowy i składał się z dwudziestu pięciu rozdziałów. Odczuwałem wielką dumę. Wiedziałem już, jak będzie wyglądać moja książka. Widziałem ją oczyma wyobraźni.

– Grzentold, ale ty wiesz, że niektóre z tych twoich opowieści są mocno kontrowersyjne, co nie? – wypaliła znienacka Sulley.

– No wiem i o to właśnie chodzi. Ta książka ma być mną, ma mieć moją duszę – odpowiedziałem bez namysłu.

– Jesteś artystą. Jak chcesz, żeby o tobie mówili?

– Szczerze mówiąc, to nie interesuje mnie opinia innych ludzi. Ważne, że kocham siebie takiego, jakim jestem. Zawsze byłem kontrowersyjny i

taki zamierzam pozostać. Cenię w sobie inność. Nie zamierzam niczego zmieniać, żeby się komuś przypodobać. Wiesz, jak będzie? Jedni mnie pokochają, a drudzy znienawidzą – skwitowałem.

Rozwój osobisty nauczył mnie tego, że nie można zadowalać kogokolwiek swoim kosztem. Robiąc to, człowiek nie może być w pełni szczęśliwy, a jeśli nie jest – to tak samo wszyscy, którzy przebywają w jego towarzystwie. Gdybym liczył się z opinią innych osób, wówczas pozwoliłbym, aby ich słowa lub gesty kontrolowały moje zachowanie, jednak to ja jestem panem swoich emocji, a nie odwrotnie, i to już się nigdy nie zmieni. Niektórzy nieświadomi ludzie próbują mi wmówić, że odkleiłem się od rzeczywistości. Owszem, zapewne mają rację, i to mnie nawet cieszy, ale niestety nie rozumieją, że żyję teraz w rzeczywistości, którą sam tworzę. Kreuję ją dla siebie i nie czekam, aż zrobią to za mnie inni – często przypadkowi – śmiertelnicy. Już dawno zrzuciłem z siebie kajdany, jakie nałożył na mnie system. Nie jestem chorągiewką na wietrze, dlatego też nie zgadzam się, aby mną manipulować. Moje życie jest efektem moich decyzji albo ich braku...

Wkrótce potem uświadomiłem sobie, że mam już prawie cały materiał do swojej książki, stąd też zacząłem myśleć o znalezieniu wydawcy. Brakowało mi wiedzy oraz doświadczenia. Każde wydawnictwo było dla mnie takie samo i nic mi nie mówiło. Byłem w kropce. Zdecydowałem, że poproszę Wszechświat o wskazówkę podczas medytacji.

– Wszechu, proszę Cię... Pomóż mi znaleźć najlepsze wydawnictwo z możliwych. Wiem, że jest ich wiele, ale na pewno znajdzie się takie, które

potrzebuje mojej książki na już. Tak samo jak ja potrzebuję teraz kogoś, kto poprowadzi mnie przez proces wydawniczy, czyli ostateczny etap w drodze do realizacji mojego marzenia. Dziękuję – mówiłem do siebie w myślach, wysyłając energię do wszystkich równoległych wszechświatów.

W ciągu dnia nie spotkało mnie nic nadzwyczajnego, natomiast w nocy przyśnił mi się kolega Marcin Kaczmarczyk, autor kilku książek. We śnie zwrócił się do mnie, podając nazwę wydawnictwa. Powiedział: „Grzechu, twoim wydawcą będzie Studio Astropsychologii”. W tym samym momencie obudziłem się. Wziąłem do ręki kartkę i długopis, po czym zapisałem słowa znajomego. Chwilę później zamknąłem oczy i usnąłem. Gdy zadzwonił budzik, podniosłem się z łóżka. Pamiętałem o swoim śnie, ale nie pamiętałem szczegółów. Całe szczęście, że zapisałem je na kartce. Uruchomiłem laptopa, by sprawdzić, czy takie wydawnictwo w ogóle istnieje...

– O kurwa! Co to ma być? – zdziwiłem się.

Okazało się, że wydawnictwo funkcjonuje na rynku i wydaje między innymi książki o rozwoju osobistym. To był dla mnie magiczny moment. Miałem wrażenie, że wznoszę się nad ziemią. Gdy do nich pisałem, unosiłem się jeszcze wyżej. Do listu dołączyłem spis treści oraz pięć losowo wybranych artykułów. Całość wysłałem drogą elektroniczną. Jeszcze tego samego dnia dostałem wiadomość zwrotną, w której napisano, że wydawnictwo jest wstępnie zainteresowane moją książką. Poproszono mnie o dosłanie reszty materiałów i kazano uzbroić się w cierpliwość, gdyż decyzja miała zapaść tydzień później na naradzie redakcyjnej. W ciągu

kolejnych kilku dni dopieszczałem swoje dzieło, które ostatecznie skończyłem pisać 10 kwietnia 2019 roku. Pracowałem nad nim równe siedem miesięcy. Następnego dnia otrzymałem od redaktora naczelnego mejla z informacją, że wydawnictwo zdecydowało się... wydać książkę. W liście znalazłem także umowę. Emocje, jakich wtedy doświadczyłem, są nie do opisania. Treść umowy najpierw przeanalizowałem z prawnikiem, który następnie dał mi zielone światło na podpisanie dokumentu.

Kilka dni później złożyłem podpis pod umową. Wydarzyło się to w firmie Tolerance.

Chwilę wcześniej rozmawiałem z Sulley.

– Siedem miesięcy! Równe siedem miechów! Nie chcę nic mówić, ale jesteś geniuszem! – krzyczała koleżanka, ciesząc się moim sukcesem. – A pamiętasz, kiedy zapisałeś to na kartce? Dałeś sobie wtedy pięć lat. Zrobiłeś to w siedem miesięcy, debeściaku. Zajebiście! – dodała po chwili, śmiejąc się od ucha do ucha.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, ale... Musisz wiedzieć, że to także twoja zasługa, bo dopingowałaś mnie najmocniej ze wszystkich. Dziękuję – powiedziałem, odwzajemniając uśmiech.

– Oj tam, oj tam – skwitowała Sulley, przytulając się do mnie.

Nigdy nie zapomnę tamtego dnia, ponieważ był jednym z najważniejszych w moim życiu.



Zdjęcie 5. Archiwum prywatne

25 maja 2019 roku wybrałem się do Londynu, gdzie wziąłem udział w szkoleniu „Zrób z życia arcydzieło”, jakie poprowadził Fryderyk Karzełek. Oprócz niego wystąpili także Anna Osajca oraz Wojciech Kołodziejczak. W stolicy Anglii zamierzałem poznać swojego mentora i podziękować mu za to, że wybudził mnie z głębokiego snu. Przecież to dzięki niemu przypomniałem sobie o swoich marzeniach. To on dał mi bodziec, którego

potrzebowałem w kryzysowym momencie. Cieszyłem się na to spotkanie. Pojawiłem się na miejscu dość wcześnie, bo jakieś dwie godziny przed czasem. Wszystko było jeszcze w przygotowaniu. Niepewnym krokiem wszedłem do sali konferencyjnej, żeby się rozejrzeć.

– Cześć. Nie wstydź się, podejdź do nas – krzyknęła Ania Oszejca.

Skorzystałem z zaproszenia i podszedłem, by zapoznać się z każdym po kolei. Stwierdzam, że zostałem bardzo miło przyjęty przez ekipę, która współtworzyła event. Fryderyk dał na scenie czadu, przekazując gościom dużą porcję wiedzy. Było profesjonalnie, a nawet zabawnie w niektórych momentach. Na koniec szkolenia nadarzyła się okazja ku temu, by podejść do mentora.

– Fryderyku, chciałem ci podziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Wywróciłeś moje życie do góry nogami. Sprawileś, że odnalazłem marzenia, które zacząłem realizować. Dzięki tobie jestem szczęśliwy. Dziękuję – rozpocząłem lekko wzruszony.

– Grzegorz... Serce rośnie, kiedy słyszę takie słowa. Cieszę się, że mogłem pozytywnie wpłynąć na twoje życie. Dziękuję za to, że przyjechałeś – powiedział mentor. – Co można zrobić, żeby obudzić więcej ludzi? – spytał po chwili, patrząc na mnie z zaciekawieniem.

– Fryderyku... Nie da się pomóc komuś, kto nie chce pomocy. Wydaje mi się, że do rozwoju osobistego trzeba dojrzeć. Trzeba poczuć w sobie silną chęć zmiany. Mówiłeś, że wierzysz w energię. Ja również, dlatego też wiem, że nie spotkaliśmy się tutaj przypadkiem. Kiedyś... Kiedyś zrobimy

razem coś wielkiego dla tego świata – odrzekłem, patrząc mężczyźnie głęboko w oczy.

Założyciel Klubu 555 słuchał mnie z zaangażowaniem. Przyglądał mi się, sprawiając wrażenie spokojnego i przede wszystkim zaintrygowanego. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie. Pomyślałem wówczas, że chcę patrzeć na ludzi w identyczny sposób. Przez chwilę czułem się wyjątkowo. Mentor podpisał mi swoją książkę, po czym uściskaliśmy się i zapozowaliśmy do pamiątkowego zdjęcia. Późnym wieczorem – przepełniony pozytywną energią – wróciłem do Manchesteru.

Od mojego ostatniego kontaktu z wydawnictwem minęło kilka miesięcy. Nie wiedziałem, na jakim etapie procesu wydawniczego znajduje się moja książka, ale nie przeszkadzało mi to. Nie chciałem nikomu zaburzać rytmu pracy, toteż nie wysyłałem zbędnych zapytań. Sulley sprawiała wrażenie bardziej zaintrygowanej ode mnie.

– Debeściaku, mógłbyś do nich napisać. Nie chcesz wiedzieć, co się dzieje z twoją książką? Może zapomnieli o tobie... Ja bym do nich codziennie pisała. Lubię mieć wszystko pod kontrolą – stwierdziła któregoś razu, żując gumę w ekspresowym tempie.

– Sulley, nie ma takiej potrzeby. Napoleon Hill nauczył mnie wiary i cierpliwości. Moje marzenie najpierw powstało w głowie. Później uwierzyłem w to, że jestem w stanie je zrealizować. Zrobiłem pierwszy krok, kilka kolejnych, a teraz... Wszystko dzieje się dokładnie tak, jak to sobie zaplanowałem. Wiem nawet, kiedy odbędzie się premiera, bo sam ją kreuję podczas wizualizacji. Pewne rzeczy nie mogą się wydarzyć z dnia na

dzień, dlatego trzeba być cierpliwym – odrzekłem, spoglądając w kierunku koleżanki.

– No pewnie masz rację, ale chciałabym już wiedzieć. A tak w ogóle, to jestem jakaś zmęczona. Nie mogę spać ostatnio i ciągle chce mi się siku – żaliła się Sulley, szcękając zębami.

– Czemu ty wciąż tego nie rozumiesz? Tłumaczę ci dzień w dzień, że to od tych białych proszków, które wciągasz nosem. Takie są efekty uboczne zażywania twardych narkotyków – uświadamiałem kumpelę.

Dziewczyna uwielbiała koks. Kokaina jest narkotykiem dość mocno uzależniającym psychicznie, dlatego też nawet jednorazowa dawka może doprowadzić do nałogu. Ta substancja sprawia, że serce bije szybciej, a zwężają się przy tym naczynia krwionośne. Ludzie często zapominają, że od używania zwiniętego banknotu, na którym są miliony bakterii i który wtykają sobie w podrażnione nozdrza, można się zarazić żółtaczką typu C. Wiele osób zażywa kokainę, żeby poczuć fałszywy przypływ pewności siebie, co jest jednak złudne i chwilowe. Kokaina bardzo silnie wpływa na serce i powoduje mikrouszkodzenia mięśnia sercowego. Warto też odnotować, że możliwa jest miażdżycza naczyń krwionośnych oraz upośledzenie funkcji wątroby. Częsta konsumpcja narkotyku prowadzi do bezsenności, stanów lękowych czy depresji. Możliwe jest wystąpienie manii prześladowczych, jak również halucynacji bądź psychozy. U konsumenta można zauważyć spadek masy ciała oraz bladość skóry.

Następny dzień rozpocząłem standardowo od medytacji. W trybie czuwania wizualizowałem premierę swojej książki. Wyobrażałem sobie

siebie w momencie, gdy podpisuję ludziom własne dzieło z datą 29 listopada 2019 roku. Wymachiwałem ręką w powietrzu, wczuwając się w to wydarzenie tak mocno, jak gdyby wszystko działo się tu i teraz. Kilka godzin później dostałem wiadomość, z której wynikało, że wydawnictwo zamierza zmienić tytuł książki na „Narzędzia rozwoju osobistego. Medytacje, wizualizacje i inne techniki uwalniania emocji oraz kreowania pewności siebie”. Początkowo nie byłem zadowolony, ale po głębszej analizie uznałem, że pomysł jest świetny.

Wkrótce potem listonosz dostarczył mi przesyłkę. W paczce znajdowała się korekta mojego tekstu. Zaakceptowałem większość poprawek, aczkolwiek nie zgodziłem się na wszystkie. Dodałem również swoje uwagi, po czym odesłałem całość do Białegostoku, gdzie mieści się siedziba mojego wydawcy. Ostatecznie poszliśmy na kompromis. Zgodziłem się na wykropkowanie wulgaryzmów, natomiast wydawnictwo poszło mi na rękę, zostawiając niektóre błędy – głównie stylistyczne, co miało na celu nadać książce duszę. Moją duszę – wroga perfekcjonizmu. Chodziło głównie o to, aby uświadomić wszystkim czytelnikom, że bycie perfekcjonistą niesie za sobą więcej minusów niż plusów. Czy z książki w twardej okładce dowiesz się więcej niż z tej, która ma miękką oprawę? Czy dzieło, w którym brakuje ponumerowanych stron, zmienia treść? Kilka błędów również niczego nie zmieni, ponieważ przesłanie autora i tak pozostanie takie samo...

W kolejnych dniach kontynuowałem medytację, którą łączyłem bezustannie z afirmacjami oraz wizualizacjami dotyczącymi premiery pozycji wydawniczej pt. „Narzędzia rozwoju osobistego”. Oczyma

wyobraźni widziałem ludzi, którzy przyszl, aby spotkać się ze mną w empiku – rodzinę, znajomych, nieznajomych. Mówiłem do nich, słyszałem ich głosy. Podpisywałem książki, na których widniał już nowy tytuł. Wpisywałem datę 29 listopada 2019 roku, machając ręką w powietrzu. Mocno wczuwałem się w swoją rolę. Na koniec odczuwałem wdzięczność. Miałem wrażenie, że to wszystko działo się naprawdę. Uznawałem to za fakt, po czym wracałem do codziennych obowiązków. W pracy kupiłem bilet lotniczy do Polski, oczywiście na premierę...

– Ty to jesteś wariat. Szaleniec! Będiesz geniuszem, jeśli twoja książka ujrzy światło dzienne 29 listopada. W sumie... każdy geniusz to szaleniec! – oznajmiła Sulley, wybuchając śmiechem.

Nazajutrz dostałem mejla z wydawnictwa, w którym powiadomiono mnie, że premiera mojej książki odbędzie się... 29 listopada 2019 roku. Czułem się nieziemsko, jakbym był w zupełnie innym wymiarze.

– Ja pierdziu! Ty naprawdę jesteś geniuszem! Rok ma 365 dni, a ty... wiedziałeś dokładnie! Jeśli zrobiłeś coś takiego, to możesz wszystko! – krzyczała Sulley, nie mogąc opanować emocji.

– Laska, ja po prostu stosuję Prawo Przyciągania. Uwierz w to, że jesteś bogiem, a w Twoim życiu zaczną dziać się cuda – rzekłem do koleżanki, puszczając oczko w jej kierunku.

W tym samym momencie uświadomiłem sobie, że to dopiero początek mojego doświadczenia...

Jakiś tydzień później do zespołu wrócił Nwankwo, który – jak się okazało – nie radził sobie najlepiej w nowym otoczeniu. Przyglądając się

Afrykańcykowi, zacząłem dumać. Pomyślałem, że skoro potrafię kreować wydarzenia, to tak samo powinienem umieć zmienić czyjeś zachowanie, bo przecież żyję w rzeczywistości, którą sam tworzę i która jest lustrzanym odbiciem moich myśli oraz odczuć na temat wszystkiego i wszystkich. Miałem na pieńku zarówno z Nwankwo, jak i Tamarą, jednak to ode mnie zależało, jak długo... Następny poranek rozpocząłem medytacją. Wizualizowałem moje relacje z kobietą i mężczyzną. Najpierw wyobrażałem sobie, jak rozmawiam z Nigeryjczykiem. Śmialiśmy się, żartowaliśmy, wspólnie robiliśmy różne rzeczy. Następnie zrobiłem to samo, ale z tą różnicą, że bohaterką mojego scenariusza była Gruzinka. Pogodziłem się z myślą, że ludzie, których nie darzyłem wcześniej sympatią, są teraz moimi przyjaciółmi. Wkrótce wydarzyło się coś niesamowitego.

– Cześć, Greg. Jak leci? Może wyskoczmy na piwko po pracy? – zapytał Nwankwo, zaskakując mnie kompletnie.

– No cześć. Wszystko w porządku. Z tym piwem to całkiem niezły pomysł. Szykuj się, bo mamy do pogadania – odpowiedziałem, odczuwając wdzięczność.

Chwilę później stało się coś jeszcze...

– Greg, możemy pomówić? – zwróciła się do mnie przełożona.

– Oczywiście – odrzekłem bez zastanowienia.

– Chodźmy do kuchni. Dawno nie rozmawialiśmy. Myślę, że mamy o czym – wykrztusiła Tamara, uśmiechając się serdecznie.

To był dla mnie wyjątkowy dzień. Dyskutowałem z każdym z osobna, ale nikt z nas nie wspominał o poprzednich incydentach. Miałem wrażenie, że rozmawiam z zupełnie innymi ludźmi. W niedalekiej przyszłości gadałem z nimi jeszcze niejednokrotnie, ale w taki sposób, jakbyśmy znali się od lat. Zmienili się nie do poznania... Zmieniając myślenie, przekomponowujesz swój największy przebój, który nosi nazwę „Moja rzeczywistość”. Nikt poza tobą nie może zmienić nut, ponieważ jesteś jedyną osobą, która posiada prawa autorskie.

Około półtora miesiąca przed premierą zapoznałem się z projektem okładki, który zrobił na mnie wielkie wrażenie, natomiast dwa tygodnie później doszło do mnie, że to nie najlepszy pomysł, abym leciał do Polski. Zrozumiałem, że na mój wieczorek autorski przyszłoby niewiele osób.

– Grzegorz, no weź pomyśl... Poszedłbyś zobaczyć kogoś, kogo nie znasz? Nikt o tobie nie słyszał. Nikt nie czytał twojej książki. Strata czasu. Może przyszliby rodzice, może jacyś znajomi... I pewnie pojawiłyby się osoby, które przypadkiem trafiły do księgarni. Trudno, niech stracę. Nie lecę! – podjąłem wstępną decyzję.

Na dniach skontaktowałem się z wydawnictwem i wspólnie zadecydowaliśmy, że nie będzie spotkania z autorem.

29 listopada 2019 roku moja książka pt. „Narzędzia rozwoju osobistego” pojawiła się w empikach oraz innych księgarniach na terenie całej Polski. Byłem tak dumny, jak nigdy wcześniej.

– Udało ci się! Słyszysz?! Udało ci się! Udowodniłeś wszystkim, że warto mieć marzenia! Jesteś megainspiracją – krzyczała Sulley, skacząc do

góry.

– Dzięki. Wow! To wydarzyło się naprawdę? – zapytałem, czując, że po policzku spływa mi łza.

– Oczywiście! Jak to zrobiłeś? Powiedz w skrócie. – Usłyszałem głos ekscytującej się koleżanki.

– Pomyślałem, poprosiłem, zwizualizowałem, poczułem, uwierzyłem, podziękowałem. Musisz wiedzieć, że zawsze bezgranicznie wierzyłem w swój sukces. Nigdy nie zwątpiłem, choćby na chwilę. Wiara i cierpliwość zwyciężyły, czyli dokładnie to, o czym pisał Napoleon Hill – wyjawilem, odczuwając wdzięczność.

Książka prezentowała się dokładnie tak, jak ją sobie wymarzyłem. Wyglądała zjawiskowo, co udowadniało wszystkim, że wcale nie trzeba być perfekcjonistą, by osiągnąć sukces. Zrealizowałem swoje największe pragnienie! Wtedy też zrozumiałem, że spełnianie marzeń jest jak zażywanie narkotyków – silnie uzależnia, a przecież apetyt rośnie w miarę jedzenia...

Jego ulubione zajęcie to marnowanie czasu. Ma wielu przyjaciół, jak również wrogów. Znasz go? Ogranicza wyjście ze strefy komfortu. Prowadzi do prokrastynacji i lenistwa, blokując jednostkę do dalszych działań i rozwoju. Ostatecznie podcina skrzydła i niszczy marzenia. Mówią o nim... PERFEKCJONIZM.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

CUDA MEDYCZNE

Któregoś dnia jeden z moich przyjaciół – Mieczysław Krzewina – wpadł na genialny pomysł i zamówił do domu bieżnię elektryczną. Mieszkaliśmy wówczas w Warszawie. Wynajmowaliśmy razem pokój w jednym z bloków nieopodal centrum handlowego Arkadia. Nazajutrz kurier zapukał do drzwi, by dostarczyć przesyłkę. Do tego czasu zdążyliśmy wypić po kilka piw. Najpierw złożyliśmy produkt, po czym zaczęliśmy go testować.

– Jak tam, Mieciu? Dajesz radę? – zapytałem w pewnym momencie, widząc zmęczonego kolegę.

– Zapiardol, Grzegorz, oj, zapiardol. Podaj piwko, póki niewygazowane – rzekł do mnie kompan, ledwie łapiąc oddech.

– Proszę bardzo. Dawaj, jakąś zmianę zrobimy – zaproponowałem, wręczając koledze browar.

– Dziękuję. No dobra, to pakuj się. Tylko powoli, nie będę wyłączać. – Usłyszałem.

Za chwilę byłem już na bieżni. Złapałem odpowiedni rytm i biegłem. Jednak po kilku minutach poczułem zmęczenie.

– Mietek, podasz puchę? Zaszło mi w gardle – poprosiłem kompana o przysługę.

– No jasne, chwila – oznajmił.

– Dzięki – powiedziałem, wystawiając rękę.

W tym samym momencie straciłem kontrolę nad bieżnią. Wyrzuciło mnie do tyłu. Zatrzymałem się na ścianie, upadając na drewnianą posadzkę. Najpierw poczułem silny ból w plecach, by następnie rozciąć sobie podbródek. Krew lała się z mojego podgardla niczym z zarżniętego prosiaka. Mieczysław, zachowując spokój, zadzwonił po taksówkę, którą dojechaliśmy do szpitala. Lekarz zrobił wszystko, co było w jego mocy – zszył mój podbródek. Następnie stwierdził, że mam rwę kulszową. Późnym wieczorem wróciliśmy z kumplem do domu, gdzie „tańczyliśmy” do samego rana. Zadowoleni usnęliśmy, ale gdy po kilku godzinach otworzyłem oczy, nie mogłem podnieść się z łóżka. Stękałem i przewracałem oczami, ponieważ ból był ogromny. Cierpiałem zarówno w ciągu dnia, jak i w nocy.

– Grzegorz, to może spróbujesz w końcu podróży astralnych? Ponoć dusza jest wolna od bólu i cierpienia. Zrelaksuj się

– zaproponował któregoś razu koleżka.

– Mieciu, ty to jednak niegłupi chłopak jesteś – odpowiedziałem, akceptując propozycję.

– Dziękuję! – wykrzyknął ucieszony kolega.

Swego czasu dużo rozmawialiśmy z Mietkiem o podróżach astralnych. Fascynował nas ten temat. O co w ogóle chodzi? OOB to doświadczenie, które polega na przebywaniu duszy poza ciałem. Najtrudniejszym etapem jest odklejanie się ciała astralnego od fizycznego. Istotne, aby robić to spokojnie i z wyczuciem. Moją ulubioną metodą są wizualizacje. Technika polega na wyobrażeniu sobie siebie bujającego się na huśtawce i

wyskakującego z niej do góry. Oczywiście należy to zrobić w stanie transu. Jeśli nam się uda, to co się dzieje dalej? Dusza ma oczy dookoła głowy, więc widzimy w obrębie 360 stopni. Nie czujemy żadnego bólu, odczuwamy relaks. Podróże odbywają się w równoległych wszechświatach, czyli alternatywnych rzeczywistościach naszego bytu. Możemy chodzić, biegać, a nawet latać z niewyobrażalną prędkością. Jesteśmy w stanie burzyć wszystko, co spotykamy na swej drodze. Mamy możliwość budowania. Możemy robić dosłownie wszystko, co chcemy. Ciekawym przeżyciem są rozmowy ze zmarłymi ludźmi bądź zwierzętami. Można podróżować całą noc, chociażby latając z jednego państwa do drugiego, ale najlepsze w tym wszystkim jest to, że po powrocie do ciała człowiek nie czuje zmęczenia, natomiast jest odprężony i wyspany. Dusza wraca do swojego ciała zawsze, gdy się czegoś przestraszy. Podróże astralne zaoszczędziły mi wielu godzin cierpienia. Po kilku dobach spędzonych w łóżku bólaczka powoli zaczęła ustępować, co spowodowało, że wróciłem do codzienności. Jest jednak coś, co mnie zastanawia. Jeżeli po wyjściu z ciała mamy tę samą świadomość, co w momencie, kiedy w nim przebywamy, to czym tak naprawdę myślimy? Duszą czy mózgiem? Przecież mózg pozostał w świecie materialnym... Będąc w ciele, niektórzy ludzie są niewidomi, ponieważ mają problemy natury zdrowotnej. Jednak gdy te same osoby opuszczą ciało i zaczną przebywać w świecie astralnym, widzą 360 stopni dookoła głowy. To dotyczy wszystkich śmiertelników, żeby była jasność. Jak to możliwe? Czyżby oczy ograniczały pole widzenia człowieka? Niewidzących możemy podzielić na dwie grupy. W pierwszej

znajdują się istoty ludzkie, które straciły wzrok z różnych przyczyn. Wiedzą, jak wygląda świat, potrafią go sobie wyobrazić. A gdyby tak zaznajomić ich z Prawem Przyciągania? W drugiej grupie mamy dzieci Boże, które nie widzą od urodzenia. Wystarczy nauczyć je technik OOB, żeby mogły wyjść z ciała. Zobaczyłyby, jak wygląda rzeczywistość. Następnie można by zaznajomić niewidomych z Mocą Podświadomości. Połową sukcesu będzie przywrócenie im nadziei. Jeżeli bezgranicznie uwierzą, że odzyskają wzrok, to wcześniej czy później tak się stanie. Muszą być cierpliwi. Być może nie wszystkim uda się przywrócić wzrok, jednak warto spróbować. Niech przynajmniej jedna osoba zacznie widzieć, a oznaczałoby to przełom, zarówno w medycynie, jak i w nauce.

Ból powrócił niespodziewanie kilkanaście miesięcy później, niedługo przed moim powrotem na Wyspy Brytyjskie. Nie leczyłem się, ponieważ myślałem, że samo przejdzie, ale... myliłem się. Przybyłem do Anglii wraz z „koleżanką”, jaką była rwa kulszowa. Uczepiła się mnie niczym rzep psiego ogona. Z dnia na dzień ból się nasilał. Promieniował z dolnej części pleców aż do kostki lewej nogi. Czułem go przez całą dobę, zarówno w ciągu dnia, jak i w nocy. Mogłem spać jedynie na plecach. Nie byłem w stanie ani biegać, ani chodzić. Kulałem. Miałem ogromny problem z siadaniem oraz pochylaniem się, toteż często prosiłem żonę lub przyjaciół, aby zawiązali mi sznurówki. Nie mogłem pracować na wysokich obrotach, ale pracodawcy byli wyrozumiali. Znali mój problem. Wiedzieli, że korzystam z porad specjalistów. Lekarze wysyłali mnie z jednej przychodni do drugiej. Chodziłem na rehabilitację, ćwiczyłem w domu, brałem

mnóstwo tabletek przeciwbólowych i... nic! Nawet jeśli któregoś dnia było trochę lepiej, to następnego cierpiałem kilka razy mocniej. Nieustający ból spowodował, że zacząłem być nieznosny dla otoczenia. Nie pamiętałem już, czym jest szczęście. Zapomniałem o radości i wdzięczności. Z człowieka, który nie widział żadnych problemów, był miły i wyrozumiały, przeobraziłem się w kogoś zupełnie innego. Zacząłem marudzić, narzekać i oceniać. Miałem pretensję do wszystkich o wszystko, aż w końcu zgorzkniałem. Podziwiam moją żonę, która dzielnie to znosiła. Gehenna trwała około siedmiu lat. Pewnego razu, gdy czytałem o różnych cudach opisanych w książce pt. „Potęga podświadomości”, doszło do mnie, że jestem w stanie dokonać czegoś podobnego. Uwierzyłem w to bezgranicznie, ponieważ zrozumiałem, że Prawo Przyciągania jest dla mnie ostatnią deską ratunku. Medycyna zawiodła, niestety.

W dniu, w którym wziąłem sprawy w swoje ręce, przestałem wykonywać ćwiczenia, jakie zalecił mi lekarz. Postanowiłem także omijać szerokim łukiem wszystkie gabinety medyczne.

Codziennie, zarówno rano, jak i wieczorem prosiłem w myślach Wszechmogącego o to, żebym wyzdrowiał. Oczyma wyobraźni widziałem siebie tryskającego energią. Biegałem, skakałem, robiłem salta. Wyobrażałem sobie takie czynności, jakich nie mogłem wykonywać przez kontuzję pleców. Mocno wczuwałem się w każdą ze scen. Odczuwałem zmęczenie oraz powiew wiatru, słyszałem śpiew ptaków. Dziękowałem pod koniec wizualizacji, ponieważ byłem pogodzony z myślą, że to wszystko dzieje się tu i teraz. Ból z dnia na dzień zaczął ustępować, dzięki czemu

poczułem większą motywację do pracy ze swoją podświadomością. Powrót do zdrowia wydawał się kwestią czasu.

Po około dwóch miesiącach mogłem już normalnie chodzić. Przestałem kuśtykać, a to spowodowało, że zacząłem biegać. Truchtałem dwa lub trzy razy w tygodniu. Początkowo nie było łatwo, gdyż ból dawał się we znaki. Wiedziałem jednak, że jedyną drogą do sukcesu jest pozytywne myślenie. Podczas biegu wyobrażałem sobie siebie w momencie, gdy wygrywam zawody sportowe. Wizualizowałem, jak na ostatniej prostej wymijam najgroźniejszego rywala i przekraczam metę jako zwycięzca. Czułem radość i ekscytację. Widziałem smutne twarze przeciwników. Dziękowałem im za walkę, jaką włożyli w wyścig.

– Dziękuję – mówiłem na koniec, odczuwając wdzięczność.

Zachowywałem się dokładnie tak, jakby sytuacja wydarzyła się przed momentem. Nie miałem problemu, by zobaczyć ją oczyma wyobraźni. Z łatwością mogłem odtworzyć wszystkie uczucia i emocje, ponieważ jako nastolatek przeżywałem identyczne chwile, reprezentując swoją podstawówkę lub liceum w biegach międzyszkolnych.

Wkrótce potem zacząłem się zastanawiać, co zrobić w momencie, kiedy boli najbardziej. Nie mogłem utożsamiać się z cierpieniem, gdyż Prawo Przyciągania wyraźnie mówi, że przyciągamy więcej tego, na czym skupiamy swoje myśli. Wpadłem więc na pomysł, żeby oszukać swój mózg. Człowiek jest tak zaprogramowany, że puszczają mu hamulce na widok zielonego światła, w związku z czym wchodzi na jezdnię bez zastanowienia. Zielone światło oznacza zgodę. Odwrotnie jest w sytuacji,

gdy na przejściu dla pieszych widzimy czerwone światło. Wówczas wiemy, że nie możemy wejść na „zebrę”. Coś nas blokuje, więc kolor czerwony powinien się kojarzyć z zakazem. A idąc tym tropem... Za każdym razem, kiedy biegłem i odczułem dyskomfort w postaci silnego bólu, wyobrażałem sobie czerwone światło na sygnalizacji świetlnej lub jednolite tło w tym samym kolorze. Mój mózg dostawał wtedy sygnał, że nie akceptuję danej myśli, odrzucał ją.

– Jestem w 100% zdrowy. Dziękuję – mówiłem do siebie po chwili, odczuwając wdzięczność.

Następnie wyobrażałem sobie słup z sygnalizacją świetlną, na którym widniało zielone światło. Czasami widziałem w swojej głowie jedynie zielone tło. W obu przypadkach sprawiałem, że mój mózg akceptował myśl – pozytywną myśl – która była kluczowa. Podsumowując, zielone światło – godzisz się z wytworem pracy swojego umysłu, kolor czerwony – kasujesz niechciany scenariusz i odrzucasz propozycję, jaką daje mózg. Tę samą metodę zacząłem stosować również w innych sytuacjach. Korzystam z niej bardzo często, toteż przestały mnie spotykać różne przykrości czy niechciane okoliczności.

Pół roku później uświadomiłem sobie, że już nie mam rwy kulszowej. Odpuściła, została w jakiejś alternatywnej rzeczywistości mojego bytu. Kilka lat bezskutecznej walki z cierpieniem poszło w niepamięć. Wkrótce potem odzyskałem ochotę do życia. Stałem się lepszą wersją siebie, zgorzknienie minęło... Prawda jest taka, że gdybym zaufał medycynie, to dzisiaj byłbym inwalidą, jednak jestem zdrowy, bo zaufałem

Nieograniczonej Mocy Podświadomości. Większość lekarzy stwierdziłaby prawdopodobnie, że wydarzył się cud, gdyż nieleczone rwa kulszowa nie odpuszcza, a tymczasem wystarczyło zastosować Prawo Przyciągania.

23 czerwca 2019 roku byłem umówiony na towarzyską gierkę z ekipą obcokrajowców. Z samego rana poszedłem do sklepu sportowego, aby zakupić nowy ściągacz na swoje lewe kolano, które było operowane wiele lat wcześniej. Niestety nie znalazłem nic ciekawego. Tylko jeden produkt przykuł moją uwagę. „Ej, Greg. Fajnie byłoby mieć ściągacze na obu kolanach, ale z drugiej strony po co, skoro prawe mam całkowicie zdrowe” – pomyślałem. W tym samym momencie poczułem się jakoś dziwnie i po chwili wyszedłem ze sklepu. W domu przebrałem się szybko. Następnie wziąłem rower i pojechałem do chłopaków. W drodze na boisko zauważyłem motyla, który wpadł między szprychy mojego jednoślada i zginął na miejscu. Głos intuicji szeptał, abym zawrócił, bo może się stać coś złego, ale zignorowałem podpowiedź. Na boisko dotarłem nieco spóźniony, w związku z czym nie chciałem tracić czasu na rozgrzewkę. Dołączyłem do gry zupełnie nierozgrzany. Pierwszy kontakt z piłką – pierwszy gol. Chwilę później wystartowałem do futbolówki, którą na wolne pole zagrał do mnie jeden z kolegów. Biegając sprintem, źle stanąłem. Noga w prawym kolanie wygięła mi się w bardzo nienaturalny sposób. Kątem oka widziałem rówieśników, którzy zasłaniali oczy rękoma. Zorientowałem się, że nie wyglądało to najlepiej, ale nie przestraszyłem się, gdyż od jakiegoś czasu stosowałem Prawo Przyciągania. Upadając na murawę, zamknąłem oczy i wyobrażałem sobie, że wszystko jest w porządku – jak

dalej biegam i strzelam kolejne bramki. Odczuwałem wszystkie emocje, jakie towarzyszą człowiekowi podczas tego typu sytuacji. Po chwili otworzyłem oczęta i zauważyłem stojących nade mną kolegów, którzy mieli nietęgę minę.

– Możesz ruszać nogą? – zapytał jeden z nich.

– Mogę, ale strasznie boli – odpowiedziałem.

– Albo złamanie, albo więzadła – odezwał się drugi.

– Na pewno nie. Myślę, że za dwa albo trzy tygodnie będę gotowy do gry – rzekłem z grymasem na twarzy, patrząc optymistycznie w przyszłość.

– Ej, Greg. Obyś miał rację, ale wiesz, jak jest – pesymistycznie zareagował kolejny kumpel.

– Panowie, widzimy się za kilka tygodni! – uciąłem temat, schodząc z boiska o własnych siłach.

Wsiadłem na rower i odjechałem do swojego miejsca zamieszkania. Towarzyszył mi okropny ból. Kolano spuchło jak nigdy dotąd. Starąłem się nie dopuszczać do siebie myśli, że kontuzja jest poważna. Następnego dnia siostra zawiozła mnie do szpitala. Lekarze najpierw obadali kontuzjowaną nogę, by następnie zrobić prześwietlenie.

– Panie Glinka, nie jest dobrze. Myślę, że będzie trzeba operować. Wszystkie znaki na niebie wskazują na zerwanie więzadeł w prawym kolanie – rzekł doktor. – Wyślemy pana do specjalisty, który zadecyduje o pańskiej przyszłości – dodał po chwili.

Dostałem opakowanie tabletek przeciwbólowych, po czym zadowolony wróciłem do domu. Myślałem pozytywnie, gdyż uświadomiłem sobie, że

ludzie mają dużo większe problemy zdrowotne. „Greg, wiesz, jak jest. Skoro wyleczyłeś kręgosłup, to tym bardziej poradzisz sobie z kolaniem. Uwierz w to, że jesteś bogiem, a w twoim życiu zaczną się dziać cuda!” – dumałem przed pójściem spać.

Dobrze zapamiętałem operację lewego kolana. Nie gorzej rehabilitację oraz to, ile czasu wracałem do pełnej sprawności. Nie chciałem przechodzić przez to samo po raz drugi. Postanowiłem, że nie pójdę więcej do lekarza i wyleczę się sam. Misja wydawała się trudna w realizacji, gdyż miałem wrażenie, że prawa część nogi, od kolana w dół, wisi na ostatniej żyłce. I wtedy mnie natchnęło. Nagle przypomniał mi się Joseph Murphy, który chorował niegdyś na raka skóry. Autor książki pt. „Potęga podświadomości” doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak wielką moc mają wypowiedziane przez nas słowa, ponieważ zakorzeniają się w naszej podświadomości. Dzięki swojej wiedzy oraz doświadczeniu wymyślił afirmację, którą powtarzał dwa, trzy razy dziennie. Z jakim skutkiem? Złośliwy nowotwór zniknął po trzech miesiącach. Skóra pastora uległa całkowitemu uleczeniu, w co nie mogli uwierzyć lekarze. Tuż przed snem przeczytałem ową modlitwę na głos. Oto jej słowa:

Moje ciało i wszystkie jego narządy stworzyła Nieskończona Inteligencja podświadomości. Ona także potrafi mnie uleczyć. Jej mądrość ukształtowała wszystkie moje narządy, tkanki, mięśnie i kości. Ta sama Nieskończona Siła Uwodźielska obecna w moim ciele przemienia teraz każdą komórkę mego organizmu i czyni go idealnie zdrowym. Jestem jej

wdzięczny za uzdrawianie, które właśnie się odbywa. Dzieła ukrytej we mnie inteligencji twórczej są wspaniałe.

Czytając, oczywiście odczuwałem ogromną wdzięczność za to, że jestem zdrowy. Na koniec wypowiedziałem jedno, ale magiczne słowo – dziękuję. Zamknąwszy oczy, udałem się do krainy czarów. Następnego dnia cudu nie było, aczkolwiek miałem wrażenie, że noga jest bardziej stabilna. Afirmację pastora starałem się odmawiać przynajmniej trzy razy w tygodniu. Wiem, że powinienem robić to zdecydowanie częściej, ale wolałem skupić się na innych celach, które wymagały pracy z podświadomością. Powoli prawe kolano zaczęło dochodzić do siebie. Zeszła opuchlizna, mogłem swobodnie poruszać nogą. Jednak po miesiącu, w najmniej spodziewanym momencie, poczułem silny ból w stawie kolanowym. To była rzepka, która przeskoczyła z punktu A do punktu B, po czym wróciła jakby na swoje miejsce. I wtedy usłyszałem głos intuicji, który szeptał, że zaboli mnie jeszcze cztery razy. W ciągu kolejnych pięciu miesięcy sytuacja powtórzyła się... czterokrotnie. Po każdej bolącej kolano zachowywało się coraz lepiej. Byłem wręcz pewien, że wszystko zmierza ku dobremu, jednak następne trzy tygodnie nie przyniosły żadnych efektów. Przyznam szczerze, że w tym czasie nie zrobiłem nic, aby przyspieszyć proces leczenia. Postanowiłem to zmienić, więc w momencie, gdy medytowałem, zwróciłem się o pomoc do Wszechmogącego.

– Wszechu, proszę Cię... Daj mi jakąś wskazówkę. Co mam zrobić, żeby wyleczyć prawe kolano? Wiem, że jest coś takiego, ale co to ma być?
– mówiłem do siebie w myślach.

Tego samego dnia standardowo wybrałem się do pracy, natomiast później rozpocząłem przygotowywanie obiadu. Niebawem do domu wróciła moja żona.

– Misio, może pójdziemy dzisiaj razem na siłownię? – spytała znenacka.

W tym samym momencie olśniło mnie i stwierdziłem, że to właśnie ten brakujący element w mojej układance. Nagle przypomniało mi się, że po pierwszej operacji chodziłem na rehabilitację, która odbywała się na siłowni w szpitalu. Chodziło o to, żeby ćwiczyć i tym samym wzmocnić wszystkie mięśnie lewej nogi. Przecież to był fundament pod możliwość rozpoczęcia treningu biegowego. „Bingo!” – pomyślałem, ciesząc się jak dziecko.

Medytacja to telefon do Wszechświata, a „Wszechu” jest moim najlepszym przyjacielem, któremu ufam bezgranicznie. Wie o mnie wszystko, więc pytam go zawsze o radę, jeśli mam z czymś problem. Odpowiedź dostaję przeważnie we śnie. Czasami w ciągu dnia – takie nagłe olśnienie.

Na siłowni ćwiczyłem jedynie nogi, zarówno lewą, jak i prawą. Trening trwał jakieś dwa miesiące. Po tym czasie zadecydowałem, że mogę w końcu wyjść na świeże powietrze i zacząć truchtać. Tak też uczyniłem. Codziennie pracowałem ze swoją głową. Najczęściej zaraz po przebudzeniu albo na chwilę przed zaśnięciem, gdyż to właśnie wtedy podświadomość jest najbardziej podatna na zmiany. Najpierw prosiłem w myślach Boga, aby spełniło się wszystko, co zobaczę podczas wizualizacji. Następnie

wyobrażałem sobie swoją osobę w sytuacji, kiedy rywalizuję z kimś na bieżni, lub w momencie, gdy gram w piłkę nożną i strzelam gole. Odczuwałem wszystkie możliwe uczucia i emocje, jakie spotykają człowieka w identycznych okolicznościach. Słyszałem głosy ludzi. Czułem padające wprost na moją twarz promienie słoneczne, ewentualnie deszcz. Wierzyłem, że to doświadczenie odbywa się tu i teraz. Na sam koniec dziękowałem, odczuwając ogromną wdzięczność. Praktykowanie wdzięczności jest najprostsza i jednocześnie najszybszą drogą do pojednania ze Wszechświatem. Wyrażając tę emocję, wysyłamy sygnał do Wszechmogącego, że jesteśmy usatysfakcjonowani tym, co już posiadamy. W odpowiedzi „Wszechu” zsyła na nas jeszcze więcej tego, za co jesteśmy wdzięczni. Nie zapominajmy o tym, że Duszą Wszechświata jest Miłość.

Pozytywne myślenie sprawiło, że znalazłem się docelowo w takim wszechświecie równoległym, w jakim chciałem być. Powrót do pełnej sprawności zajął mi około dziesięciu miesięcy. Mniej więcej tyle samo czasu potrzebowałem, by wyleczyć podobny uraz w lewym kolanie, który przytrafił mi się wiele lat temu. Problem w tym, że wówczas kontuzja przekreśliła moją karierę... Gdybym ponownie pogodził się ze wszystkim, co zobaczyłem i usłyszałem, przebywając na boisku lub w gabinecie lekarskim, to prawdopodobnie trafiłbym na stół operacyjny. Czy zabieg zakończyłby się pełnym sukcesem? Tego nie wiem, wszak prawda jest taka, że tym razem zaufałem Nieskończonej Boskiej Inteligencji, dzięki czemu obyło się bez ingerencji lekarzy i – co najważniejsze – prawe kolano jest całkowicie zdrowe.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

LECZENIE NA ODLEGŁOŚĆ

Pod koniec października 2018 roku poleciliśmy z Martą do Polski na urlop. W dniu Wszystkich Świętych wybraliśmy się wraz z moimi rodzicami do kościoła, żeby wspólnie pomodlić się za zmarłych. Odmawialiśmy różne modlitwy, między innymi

„Ojcze nasz” oraz „Zdrowaś Maryjo”. W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że nie wiem, jakie jest ich przesłanie.

„O czym one są? Po co klepię z pamięci jakieś regułki, których nie rozumiem? Co mi to daje?” – analizowałem w myślach.

Gdy nabożeństwo się zakończyło, podszedłem do kilku przypadkowych osób.

– Przepraszam panią, ale chciałbym się dowiedzieć, o czym jest modlitwa „Ojcze nasz”. Może mi pani powiedzieć? – zwróciłem się do starszej kobiety.

– Ojoj, piękny kawalerze. A któż to wie? – Usłyszałem odpowiedź.

– Halo, proszę pana! O czym jest modlitwa „Zdrowaś Maryjo”? – zacząłem posiwiałego mężczyznę.

– Trudne pytanie, na które nie znam odpowiedzi. Proszę mi wybaczyć. No, ciekawe... – Staruszek zamyślił się i popatrzył w niebo.

Byłem mocno zaskoczony niewiedzą tych ludzi, którzy systematycznie brali udział w liturgii. Spośród wszystkich zapytanych nikt nie udzielił